Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w Poniedziałek, Środę i Piątek, o drugiéj po południu.

# ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36ść Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w księgarni Czecha, w handlach Kocha i Schreibera.

Piątek 28 Września Nr 11. 1838 Roku.

## TOURVILLE I ANDRONIKA.

USTĘP Z DZIEJÓW FRANCUZKIÉJ MARYNARKI.

PRZEZ EUG. SUE.

(DOKOŃCZENIE.)

«Biédna Andronika!» — «Ja toż samo powiadam, że biédna, ale czekaj tylko końca panie de Vancy. Nasz Tourville tedy płynął sobie przy rozwiniętych żaglach Śródziemném morzem dosyć szczęśliwie, ale s ciężkiem sercem, gdy oto majtek zostający na straży, postrzegł zarazem trzy wojenne okręty. Bylito tunetańscy korsarze. Zapomniałem dodać, że Tourville, dla swéj waleczności, już na wyspie Syfanto został mianowany porucznikiem pana Artygny, dowódzcy tego samego tureckiego okrętu, do którego zdobycia nasz rycérz tak dzielnie się przyłożył. Ponieważ Tourville piérwszy był, który odbił od lądu, azatém okręt, na którym zostawał, stanowił straż przednią, a poczciwy Cruvillier z okrętem «*Sainte Ampoule*,» równie jak Hocquincourt z «*Gwiazdą Dyanny*» jako straż odwodowa, płynęli za nim. Artygny rospoczął walkę, ale bezczelna kula działowa była tak grzeczną, że zdjąwszy biédnemu Artygniemu głowę s karku, porucznika Tourville natychmiast zrobiła kapitanem okrętu. Tym sposobem nasz roskochany Seladon został kapitanem, a że niémiał potrzebnego w téj mierze doświadczenia, poruczył stérnikowi i najstarszemu z majtków, kierunek okrętu, sam zaś zajmował się jedynie zachęcaniem do boju osady, co mu szczęśliwie się powiodło. Ale jak stérnik tak i najstarszy majtek, obadwaj razem niémieli tyle doświadczenia ile miał Artygny sam jeden, który doskonałym był kapitanem. W okręt Tourvilla biło więcéj kul nieprzyjacielskich, niźli Tourville odsyłał ich z swojéj strony; przytém okręt jego stawał zawsze

do nieprzyjaciela bokiem, zamiast czołem; Tourville przeciw temu niémógł bynajmniéj nic poradzić, ludzie jego padali s każdéj strony, a jego okręt był podziurawionym jak rzeszoto i miał już zatonąć... gdy razem, czy przez niezręczność Tunetańczyków, czyli też przez szczęśliwy przypadek, kula działowa wpadłszy do prochowni okrętu tunetańskiego, wysadziła ich wszystkich razem w powietrze i szczątkami ich okryła pokład okrętu Tourvilla.» — «Co za szczęśliwy, niespodziany przypadek!» — «To niebyło żadnym przypadkiem, mój de Vancy i owszém powinieneś w tém widziéć wyższe zrządzenie opatrzności, nagradzającéj rycérza, że niepozbawił ojca jedynego dziécięcia... Ale wróćmy do skutków téj potyczki. Po wysadzeniu w powietrze nieprzyjacielskiego okrętu, noc zapadła, Cruvillier i Hocquincourt zniknęli z oczu, wiatr powstał, Tourville miał na swoim pokładzie wielu rannych, stérnik nieumiał dobrze użyć zdobytego okrętu, zwłaszcza, że był w utarczce mocno uszkodzonym. Postanawiają więc do Syfanto, jako najbliższego zawinąć portu.» — «Jezus Marya! Otóż to mi był pożądany powrót dla biédnéj opuszczonéj!» — «Zaraz się dowiész, panie de Vancy. Nasz kawaler zawija do lądu, idzie do domu starego Jany, a w progu pozdrawia go stara Murzynka témi słowy: «mój pan umiéra!» — Tourville zastaje starca prawie nieżywego w pokoju córki. Na widok jego zrywa się zdrętwiały starzec z łóżka i krzyknąwszy bolesnym głosem: «Moja córka!» — mdleje i upada na łóżko. To zapytanie było dla naszego rycérza, który s pewnością spodziéwał się Andronikę w domu zastać, mową hebrajską. Teraz dopiéro opowiedziała mu całą rzecz Murzynka: że tego samego poranku, gdy okręty odpłynęły, a Tourville niepowrócił, udała się Andronika do portu. Tam przekupiwszy jakiegoś starego żeglarza, wsiadła z nim i z jedną ze swoich kobiét na mały statek i tym sposobem dostała się na pokład jednego z odpływających okrętów. Wczasie tego opowiadania podniósł się stary Jany i zawołał umiérającym głosem: »Gdzież jest moja córka!» lecz zamiast powtórnego zemdlenia, czynił Tourvillowi najprzykrzejsze wyrzuty. Tkliwy Seladon

uczuł się tém bardzo zmartwionym, ile że tak świetny dał dowód poskromienia swéj namiętności. Gdy Jany odzyskał cokolwiek sił więcéj, oświadczył mu Tourville, aby się udał na pokład jego okrętu i szukał swojéj córki, a jeżeli jéj nieznajdzie, dodał, sam jéj szukać będzie. Stary Jany przekonawszy się, że Tourville nieuwiózł mu córki, przyjmuje to oświadczenie, porzuca na wyspie Syfanto dom, znaczny majątek i przyjaciół, i narażając się na wszelkie przygody morskie, płynie z młodym korsarzem szukać wspólnie drogiéj straty. Żeglarz, który to mi opowiadał, zapewniał mnie, że ten Jany był już podeszły człowiek, mający długą, siwą brodę, był wzrostu wysokiego, lecz bardzo chudy, nosił zawsze czarne suknie, i przez cały czas krążenia po morzu, wziąwszy swą głowę w obie dłonie, albo płakał, albo téż wytężał wzrok w przestrzenie morskie, ażali niezobaczy jakiego okrętu, na którego pokładzie mniemał znaléść swą córkę. Skargi i narzékania jego były tak żałosne, iż obudzały litość w całéj osadzie okrętowéj, i niebyło jednego, którzby się nierozrzewnił, gdy z boleścią rodzicielskiego serca zawołał: «Córka moja, nieszczęsna córko moja.» — S tém wszystkiém niechciałbym przysiądz, ażali rycérz nieżyczył sobie potajemnie, aby czart porwał tego zgryzliwego starca, i czy nieżałował, że w saméj rzeczy nieuwiódł jego córki, gdyż tym sposobem byłby się przynajmniéj pozbył swojego płaksiwego towarzysza, który ani na krok go nieodstępował. Nareście, Tourville krążąc po morzu nadaremnie przez dni cztérnaście, postanowił zawinąć do Zanty w nadziei zastania tamże s Hocquincourtem Cruvilliera, i zasięgnienia od nich na wszelki sposób wiadomości o Andronice. Jany i rycérz zawinęli razem do portu. Lecz djabeł nadał, że Hocquincourt i Cruvillier odpłynęli już stamtąd przed trzema dniami, jednakże na przypadek, jeżeliby Tourville przybył na wyspę Zantę, zostawili do niego list u dowódzcy jednego statku. Możesz sobie wystawić, że jak ojciec, tak kochanek rzucili się skwapliwie do czytania listu. Był on pisany przez Hocquincourta i zawiérał co do treści rzecz następującą: «Piękna Andronika po-

strzegłszy, że okręty odbiły już od lądu, udała się na małym statku w pogoń za najbliższym, który jeszcze dopędzić mogła. Lecz, gdy Hocquincourt jéj oświadczył, że okręt Tourvilla poprzedził wyprawę dla wzięcia okrętów nieprzyjacielskich; prosiła go, aby tak długo zostać się mogła przy nim na pokładzie, dopokątby jego okręty niezłączyły się z okrętem Tourvilla. « Hocquincourt namiénił w liście także Tourvillowi: że gdy ich utarczka rozdzieliła, a on niémógł się doczekać go w Zante, zniewolony był popłynąć do Malty i spodziéwa się, że go tam rycérz niezawodnie zastanie. Jany i Tourville nietracąc czasu rozwijają żagle i stérują do Malty. W podróży téj musieli odbyć dwie walne potyczki, s których Tourvillie wyszedł szczęśliwie. Przeciwnie stało się s poczciwym Janym. Starzec ten zatopiony w myślach o swojéj córce, niedał się sprowadzić s pokładu i został śród morderczego ognia mocno ranionym w głowę. Nareście po wielu przygodach i przeciwnościach dostają się do Malty. Ale na nieszczęście niebyło tam ani Hocquincourta, ani Cruviliera. Otóż poczciwy Jany wycieńczony morską podróżą, postanawia tam zakończyć ze zgryzoty życie, i umiéra istotnie. Tourville zasmucony tą stratą, dla rozerwania się wstępuje w służbę jednego sławnego neapolitańskiego korsarza nazwiskiem Caryniego, dowodzącego okrętem o pięćdziesięciu cztéru działach, który płynął pod banderę maltańską. Krótko mówiąc, Tourville w towarzystwie s Carynim wziąwszy kilka okrętów nieprzyjacielskich, popłynął do Wenecyi. W drodze spotkali okręt turecki, uderzyli na niego, zdobyli go i zgadniéj, kogo znaleźli na samym spodzie okrętu? oto — piękną Andronikę!» — » Piękną Andronikę! A to cud prawie! Jakby wyrachowany skutek teatralny.» — «A przecież przekonasz się, że historya ta jest całkiem prosta i naturalna. Hocquincourt odpłynąwszy z Zanty, został od Turków pobitym, a przeto s całą osadą okrętu i s piękną Androniką w niewolą wziętym. Z okrętu Hocquincourta przeniósł korsarz turecki piękną Andronikę na okręt, który właśnie zdobył Caryni, a który miał ją odwiéźć do seraju

sułtana. Kochankowie uściskali się najserdeczniéj, piękna Andronika opłakiwała skon swego ojca, a Tourville przybywszy do Wenecyi, umieścił ją w klasztorze, gdzie miała przepędzić czas żałoby, ponieważ przedsięwziął sobie ożenić się z nią i wynieść ją do zaszczytu szlacheckiego, zwłaszcza, że po swoim ojcu znaczny odziedziczyła majątek. W przeciągu téj żałoby przedsięwziął Caryni nową wycieczkę wojenną, a w morderczym boju został Tourville tak niebespiecznie ranionym, że pogłoska o jego śmierci rozeszła się po całym Wschodzie, gdzie dla waleczności swojéj już był sobie sławę zjednał. Nakoniec po wielu ciérpieniach i trudach, zabawiwszy przez dosyć długi czas w Malcie, przyszedł do zdrowia. Wsiadł na okręt i powrócił do Wenecyi. Możesz sobie wystawić z jaką trwogą serca; albowiém mógł się słusznie domyślać, że wieść o śmierci jego doszła już była niezawodnie do uszu pięknéj Androniki, a ten ostatni cios mógł być niebespiecznym, a nawet śmiertelnym dla tak tkliwéj istoty, która już tyle uciérpiała. Nareście drżący z bojaźni i nadziei przybywa rycérz Tourville do Wenecyi.» — «Biédny rycérz!« rzekł de Vancy, ociérając z łez oczy, «zapewnie czynił sobie wyrzuty, że przez swoję lekkomyślność stał się równie sprawcą śmierci ojca jak i córki.» — «Ja sądzę, mój de Vancy, że on sobie jeszcze gorsze z innego względu czynił wyrzuty... Nareście przyszedłszy do klasztoru, który Andronika za przybytek sobie obrała, żąda pomówić s ksienią.» — »Przebacz panie,» rzekł de Vancy, «jestem w bardzo wielkiéj trwodze. Rzecz się zbliża do końca, który bardzo smutnym być może!» — «Teraz zobaczysz, mój de Vancy,» rzekł Bivonne przeciągłym głosem, mając największe w tém ukontentowanie wprowadzać w ciekawość swojego sekretarza. «Tourville stanął przed ksienią, która ujrzawszy rycérza, niezmiernie się przelękła.» — «A cóż, niezgadłem? biédna Andronika!» — «Ty jesteś bardzo przenikliwym, mój de Vancy. Ale wróćmy do ksieni. »Ah biédny kawalerze!» rzekła ksienia do Tourvilla. «Andronika sądziła żeś umarł. Wszystko przepadło!» — «Biédna Andronika!» zawołał de Vancy żało-

snym głosem, a Bivonne niezważając na to, mówił daléj.— «Już po niewczasie; wszystko przepadło!» rzekła ksieni do Tourvilla. «Andronika sądząc, żeś rycérzu zginął i niémając najmniéjszéj nadziei widzenia cię więcéj...» — «O! biédna, biédna Andronika!» powtórzył de Vancy żałośnie. — ... «Przed dwoma miesiącami...» — «I cóż?« wrzasnął na całe gardło rycérz do ksieni... — «Zaślubiła sénatora tego miasta, hrabiego Barbiniego.» — «Ależ najłaskawszy panie! czyż to być może?» zawołał de Vancy pełen zadziwienia. — «Bardzo być może, mój de Vancy, tybyś był życzył sobie, abym jéj romantycznie życie przyozdobił końcem traicznym. Ale cóż w to poradzisz, mój de Vancy? Spomiędzy stu kobiét, chcących umrzéć z żalu za straconym kochankiem, jest dziewięćdziesiąt i dziewięć, które są hrabinami Barbini.» — «Ależ przynajmniéj choć jedna z nich umrze!» rzekł de Vancy z miną tryumfującą.— «Umrze, ale z żalu, że nieznalazła jakiego hrabi Barbiniego.»

## W DZIEŃ POŻEGNANIA.

Ludzie i losy
Są jak wiatr i liście,
Czasem widują aniołów, niebiosy,
I zakazane im Edenu wnijście,
Czasem znowu wiater wionie
I lecą daleko
Spocząc w zimnéj, obcéj stronie,
Skąd ich już łosy nieprędko wywleką.
Mówią — człek idzie za rozumem, wolą,
Gdzie chce dąży — albo stroni! —
O! nie, bo człowiek swoją niekieruje do-
(lą,
A cugle wozu życia, w innéj leżą dłoni.
Ta dłoń je puszcza, kieruje lub wstrzy-
(ma,
Swémi, nie jego rządząc się oczyma.
A biédny człowiek na życia rydwanie,
Siedzi i patrzy. Nieraz widzi gaje
Łąki i drzewa. Chce spocząć, niestanie,
Choć łaje koniom i woźnicy łaje.
Wóz leci ciągle — Gdzieś w przepaści
(chłodnéj,
Kiedy się konie, wóz i on wywrócą,
Gdzieś w stronie zimnéj, bezludnéj i
(głodnéj
Wóz i rumaki dopiéro go rzucą.
A gdy z niéj wynijść zechce utrapiony,
Żeby mógł zdążyć do raju swojego,
Znowu go porwą i w dalekie strony
Biegą z nim znowu i biegą.
Nieraz on patrzy i nieraz on wzdycha.
Tam w gaju
Przy ruczaju
Domek się biały uśmiécha,
Domek biały — nieduży.
A w koło drzew gałązki,
A z komina się kurzy,
A gołębi i gąski

Spokojnie chodzą w koło.
Kwiatki na oknach witają go wonią,
Wszystko tak lubo, wszystko tak weso-
(ło —
Chce stanąć, rumaki gonią
I gdy się jeszcze raz spójrzéć odwróci,
Las czarny tylko staje koło niego.
A on zapłacze, a on się zasmuci.
A konie biegą i biegą.
Nieraz mu dusza zboleje podróżna.
Tam w dolinie
Rzéka płynie —
I witają go oczami
I żądają go sercami,
A stanąć niémożna!
Choć dom ten znajomy,
Choć dach ten go skrywał
Przed burzą i gromy;
Choć pod nim przebywał
Roskosznych chwil tyle!
Lecz próżne żądanie —
I próżne łzy jego —
Wóz jeszcze niestanie,
A konie biegą i biegą —
I padną aż — na mogile!
A czasem do koła
Kraina żałobna,
Ni człeka, ni sioła —
Pustyni podobna,
Na któréj roślina
Ni zwierze nie wzrośnie,
Skalista dolina —
Co zimą i w wiośnie,
Jednaka, milcząca,
Bez ruchu i życia.
Wóz skały potrąca
I piasków zamiécia.
A dusza podróżna,
Chce prędzéj, biédz daléj —
Niestety, niémożna!
Bo cugle wstrzymali.
Gdzie głowę odwróci,
Gdzie oczyma rzuci,
Smutno, jednakowo,
Szare niebo nad głową,
Szara pod nogami ziemia,
Szaro w oddaleniu.
A na posępném niebios sklepieniu
Księżyc czerwony chmurą się za-
(ciemia.
Wóz już stanął na równinie,
Wiater świszczé,
Leją dészcze,
Jak w sędnéj godzinie —
Wóz stanął — albo powoli,
Gdy mu się ręka losu poruszać pozwoli,
S pustyni jedzie w pustynie.
Jedzie — i nie da stanąć aż w śmierci
(godzinie
W szczęśliwą pokoju chwilę,
U bram nowego życia — na mogile!!

*J. I. Kraszewski.*

---

## MIASTO W WODZIE.

Miasto Callao przy Lima w Peru zostało roku 1746 przez trzęsienie ziemi zniszczone i przez morze pochłonięte. Podczas mojego pobytu w Lima mówi doktór Vollmer (w swojém dziele: *Natur und Sittengemälde der Tropenländer*) miałem po dwa razy sposobność zwiédzenia tego miejsca. Kiedy morze było zupełnie spokojném, a słońce bliskie zachodu, można było wyraźnie widzieć Callao na samém dnie; nieznać wcale aby miasto było zburzo-

ném, są ulice i domy, nawet kościoły i wieże pod wodą, tak jak Pompei i Herculanum pod ziemią, a cielęta morskie i ryby różnego rodzaju wpływają do domów oknami i drzwiami uganiając się za żerem. Gdym że tak rzekę, na gładkiém takowém pływał zwierciedle i miał pod sobą osobliwsze widowisko, jakiego już zapewne niebędą uczestnikiem, zaledwie mógłem pomyśléć, by można nawet przypuścić, aby tam chodzili kiedy ludzie, gdzie dzisiaj tylko spostrzegać się dawał rój morskich stworzeń. Sześć tysięcy ludzi znalazło tu grób swój; s całéj ludności miasta dwóch pozostało przy życiu, s których jeden był muzykusem i właśnie z swym instrumentem szedł na wesele, gdy się wzniosły olbrzymie wały nad miastem i pochłonęły je. Niemoc ogarnęła jego zmysły. Miasta niebyło ani śladu, zapadło się s całym swoim obwodem. Gdy się szóstego dnia morze przeczyściło, pomiarkowali naprzód rybacy pod sobą miasto, które odtąd stało się osadą polipów i innych istot morskich, s początku dla wielości trupów znajdujących się w domach, a następnie ile było bezpieczném miejscem schronienia. Niémożna było żadnego nurka namówić, ażeby się spuścił i wydobył skarby, jakie się tam niewątpliwie pozostały; na brzegu jednak stoi straż, któréj obowiązkiem jest zbiérać wszystko, co tylko morze wyrzuci.

---

### OBRAZY Z DYAMENTÓW.

Pewien jubiler w Medyolanie dla uświetnienia wieczorów iluminacyjnych, zrobił dwa obrazy, mające niemal trzy stopy wysokości, i złożone z licznych kléjnotów, które najmniéj półtora miliona franków kosztują. Piérwszy obraz przedstawia orła césarskiego, tudzież herb lombardzko-weneckiego królestwa; nad orłem wznosi się korona austryacka, tudzież napisy i cyfry Ich Ces. Mości z samych brylantów. Drugi obraz przedstawia spaniały dyadem z brylantów w kształcie liścia, opasany wawrzynami z smaragdów. Pomiędzy témi znajduje się naszyjnik z najczyściéjszych pereł 150,000 franków wartający.

W Krakowie, Czcionkami Józefa Czecha.